

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

8 Z namysłem zabrał się następnie do wpisania swych obliczeń do księgi dziennej statku, która swym bardzo użytym wyglądem wskazywała, że już nie jedną burzę w swym istnieniu przeszła. Abraham wypełnił rubrykę, przeznaczoną na wpisywanie „szerokości“, nie zastanawiał się zaś wcale nad tem, aby cośkolwiek wpisać w drugiej rubryce, mającej oznaczać „długość“. Szybkość statku oznaczył odważnie jednym spojrzeniem poza burtę okrętu, a uczynił to z taką pewnością siebie, jakby przeprowadził najpilniejsze pomiary.

— Jak się pisze „Termopila“? — zwrócił się do nas wszystkich z zapytaniem. — Muszę przecież zanotować, żeśmy ją spotkali.

Przesyłabizowałem mu całe słowo, litera po literze, a on zapisał je, powtarzając głośno każdą literę. Poczem notował dalej:

— O godzinie pierwszej w nocy zderzenie z trawą, na której było dwie osoby. Jak się pisze „trawa“, panie Tregarthen? Tak?... dziękuję. Przyjęło na pokład mężczyznę i kobietę... Tak, toby było już załatwione — zakończył raport, zamykając książkę — teraz trzeba pomyśleć o jedzeniu.

Nasz obiad składał się teraz z sztuki mięsa, sucharów i sera. Nie miałem jednak obecnie takiego apetytu, jak rano, a wpłynęła na to brzydka pogoda i ta szybkość, z jaką oddaliliśmy się od wybrzeży Anglii.

Mimo całej tęsknoty, z jaką przeszukiwałem wzrokiem morze, nie mogłem nigdzie dostrzedz bodaj kawałeczka żagla. Z ciężkiem westchnieniem usadowiłem się przy Heldze, która schowała się w małym, źle ukrytym kąci, jaki starałem się kawałkiem rozpiętego żagla przed wiatrem zabezpieczyć.

Złudne nadzieje.

W ten sposób nadszedł wieczór. Kiedy ostatnie promienie słońca pozłociły horyzont, nagle Abraham, który stał na przodzie statku, krzyknął głośno:

— Panie! panie! żagiel na lewo!

Skoczyłem na równe nogi i w kilku skokach, zapominając o wszystkim, znalazłem się przy nim. Stary marynarz wyciągniętą ręką wskazywał przed nami biały punkt, który ukośnie w przeciwnym kierunku naszej jazdy ukazał się i szybko płynął ku nam.

— Helgo! nareszcie! oto płynie statek, który nas powiezie do ojczyzny.

Z temi słowy pospieszyłem ku kajucie, obok której stała wzruszona moja towarzysząca. Ona także słyszała wołanie Abrahama. Przysłoniwszy oczy ręką przed blaskiem zachodzącego słońca, przyglądała się nadpływającemu zbawcy. Silne wzruszenie wybiło się na jej przybladłej twarzy, a ręka, którą do mnie wyciągnęła, drżała lekko.

— Hugh! czy tylko oni zechcą się zatrzymać.

— Ależ Helgo! przecież prawo morskie nakazuje ratować rozbitków. Zresztą Abraham z pewnością skieruje „Jutrzenkę“ tak, aby przeciąć drogę nadpływającemu statkowi, a wtedy nie puścimy go już bez nas.

Jakby na potwierdzenie mych słów, rozległ się w tej chwili donośny głos Abrahama, który wydawał rozkazy:

— Żagiel górny zwinąć! Ster na lewo!

— Prędzej! Steruj mu w drogę.

— Już nam nie ucieknie.

— Tomaszu, a krzyknij no tak, jak ty to potrafisz, aby się zatrzymali.

Nadpływający statek był także żaglowem, co nas trochę zdziwiło, gdyż był to drugi już taki statek, podczas gdy większych nie spotkaliśmy jeszcze. Szary kadłub ciemną plamą odcinał się na falach, a liczne żagle, rozpięte w pełnym wietrze, czerwieniły się w purpurze zachodu. Płynął ku nam pod kątem, w każdym razie jednak dążył w przeciwną stronę tej, ku której płynęliśmy już drugi dzień. Jeśli więc nie podążał wprost do Anglii, to jednak prawdopodobnie byłby nas mógł wysadzić gdzieś na ląd, tak, że dostanie się do Anglii nie byłoby już rzeczą trudną.

Okazało się, że spostrzegliśmy go dosyć późno, tak, iż był już w niewielkiej od nas odległości. Zręcznym zwrotem steru obrócił Tomasz nasz statek bokiem do wiatru i począł posuwać się ku nadpływającemu statkowi. Zarazem aby zwrócić na nas

uwagę jego załogi, podciągnął flagę do połowy masztu, jakby wzywał ratunku.

Wreszcie zbliżyliśmy się na taką odległość, że można się było już nie tylko zobaczyć, ale i porozumieć. Na pokładzie, jak zdaleka zauważyliśmy, kręciło się kilku ludzi w obcych nam, nieznanym strojach.

— Hej! staaatek!... Stać!

— Hej! heeej!... Stać! Stać! do dyabła!

Zarówno Tomasz, jak i Abraham zaczęli dawać sygnały wzywające do zatrzymania statku. Mimo tych wezwań, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, obcy statek nie zwolnił ani na chwilę biegu. Na jego przodzie ukazał się ktoś z załogi i zaczął coś do nas wołać w jakimś cudzoziemskim języku.

— Ahooo! statek! stać! — grzmiał Abraham. — Mamy rozbitków na pokładzie, którzy chcą powrócić do Anglii. Bądźcie miłosierni i zabierzcie ich.

Obok pierwszego marynarza ukazał się na obcym statku jeszcze jeden, który spokojnie zaczął nam się przyglądać. Ani jeden jednak, ani drugi, nie uczynił nic, aby pędzący statek wstrzymać. Abraham ponowił swe okrzyki, ale nie robiły one na patrzących żadnego wrażenia. Załoga i dwaj kierownicy statku patrzyli spokojnie na rozpaczliwe ruchy naszego przyjaciela.

Wreszcie okręt zbliżył się tak, iż zrównał się prawie z „Jutrzenką“. Wtedy pierwszy z patrzących mężczyzn, który stał na przodzie obcego statku, skinął ręką Abrahamowi, przesyłając mu serdeczne pozdrowienie, poczem spokojnie zniknął wraz z towarzyszem w głębi statku.

Twarz Abrahama z oburzenia stała się prawie fioletową.

— Czy wy jesteście ludźmi? tacy to z was marynarze? Czekajcie, psiajuchy, aż się znowu dostaniemy na ląd! Ja o was wszędzie rozpowiem, gdzie tylko dotrę. Łajdackie nasienie! Smarowozy! Sługi! Durnie! i t. d.

Przez kwadrans sypały się epitety, jak z rogu obfitości.

Komiczna gestykulacja, jaka towarzyszyła słowom Abrahama, podzielała tak na mnie i na Helgę, że mimo tragicznej sytuacji i przykrego rozczerowania, jakiego oboje doznaliśmy, zaczęliśmy się śmiać.

Wreszcie Abraham rzucił czapkę o ziemię, otarł sobie pot z czoła i zwracając się do nas, oświadczył, głęboko oddychając:

— Ale im dał przynajmniej! popamiętają długo.

Rzucił jeszcze kilka dosadnych przekleństw za odjeżdżającymi, które brzmiały, jak grzmoty po burzy. Podniesiono zaraz żagiel i Abraham ujął — już uspokojony — za ster.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z bezlitosnej obojętności łajdaków. Jak długo mieliśmy czekać jeszcze na nasze zbawienie? Czy do Przylądka Dobrej Nadziei, czy też aż do Australii?

Śmierć marynarza.

Kiedy minęła dziewiąta wieczór, schroniłem się na ubogi mój barłóg w kąci pod dachem, gdzie wprawdzie było zimno i bardzo przewiewnie, ale gdzie mogłem spokojnie przespać moje nieszczęście i ból. Za sąsiada dostałem jednak Jakóba, który, otulony w jakąś derkę, spał, chrapiąc tak rozgłośnie, że o spoczynku nie mogło być mowy. Puściłem więc wodze myślom. A smutne one były bardzo. Niepewne jutro, obawa o drogą moją matkę, której nawet nie mogłem zawiadomić, że żyje, troska o przyszłość Helgi, wszystkie te myśli dręczyły mnie bez przerwy.

Wreszcie jednak zdaje się zmęczenie wzięło górę nademną i usnąłem. Zbudził mnie nagle huk i trzask łamanego drzewa. Usłyszałem w ciszy nocnej przenikliwy krzyk, a potem zalekłe wołania. Wśród niezgłębionych ciemności, które wokoło panowały, usiłowałem na czworakach wydostać się z mojej budki, zaplątałem się jednak w żaglu, który osłaniał moje schronienie. Przypuszczałem, że znowu w ciemności uderzyliśmy o jakiś okręt i grozi nam każdej chwili zatonięcie.

Rozpaczliwym wysiłkiem uwolniłem się z krępujących mnie pęt. Wiatr dał silnie, a deszcz lał strumieniami. Kiedy wzrok mój przyzwyczaił się po chwili do panujących ciemności, ujrzałem sylwetkę człowieka, który stał wychylony nad morze na samym brzegu statku i krzyczał w krótkich odstępach:

— To-masz! To-masz!

— Co się stało? — spytałem.

Odpowiedział mi głos Jakóba w tonie, jakiego nie zapomnę nigdy w życiu:

— Tylny maszt się złamał i wyrzucił Tomasza w morze. Nie odpowiada na nasze wołanie. Już pewnie zatonął! Utonął, jak kawał ołowiu! Grube ubranie i długie buty pociągnęły go w głębinę!

Mimo utraty wszelkiej nadziei wołali marynarze z całych sił:

— Tomasz! — Tomasz!

Żaden głos nie odpowiedział, prócz wycia wichru i szumu deszczu. Złamany maszt ocierał się silnie o burtę statku.

— Co się dzieje? — rozległ się za nami głos Helgi.

Abraham opowiedział jej o smutnym wypadku.

— Nie zobaczymy już nigdy Tomasza! Już nigdy!

Należało teraz jak najprędzej usunąć zerwane i połamane części masztu i żagli. Helga, którą płaszcz mój osłaniał przed deszczem, świeciła nam przy tej trudnej pracy. Po długich wysiłkach udało nam się wciągnąć wielki żagiel do łodzi. Był on strasznie ciężki, gdyż cały nabrał masę wody. Masztu nie mogliśmy na razie wydobyć! Trzeba go było zostawić na falach, które unosiły go obok statku.

— Przednie żagle w dół! Jakóbie! — zakomenderował Abraham przygnębionym głosem; — przesun maszt przedni ku środkowi statku, aby utrzymać go pod wiatrem. Możesz także przywiązać ster. Musimy pozostać w miejscu, aż sprawdzimy, w jakim stanie jest okręt.

Przemokliśmy aż do skóry, byliśmy także bardzo poruszeni śmiercią jednego z nas, z którym w ostatnich zwłaszcza chwilach dosyć żyliśmy się. Abraham był najbardziej zmartwiony. Ponieważ nie miało celu wystawiać się dłużej na strugi zimnego deszczu, zaproponowałem, abyśmy poszukali jakiegoś zakrytego miejsca i dodali sobie sił jakimś rozgrzewającym trunkiem.

Przybici smutnem wrażeniem, siedzieliśmy za chwilę w koło latarni, która rzuciła słabe światło na nasze blade twarze.

— Dzisiaj rano jeszcze sprzeczałem się z nim — białł Abraham. — Jakto doszło do tego? Był to najporządniejszy chłopak, jakiego znałem. Przypierał nieraz głodem. Zabrali mu nawet łóżko z domu, a mimo to dał sobie w życiu radę.

— Ponieważ was teraz tylko dwóch pozostało — zacząłem udając spokój i obojętność — to zapewne zawrócicie z drogi i przy pomocy waszego jednego masztu pojedziecie do Anglii.

— Ani mi się śni! — odpowiedział Abraham, który po szklance wisky znowu nabrał fantazyi. — Jedziemy dalej do Australii!

— Ależ z obecnym wyposażeniem statku jest to przecież niemożliwe! — zawołałem.

— Złamany maszt, o ile się tylko da, złatamy. Jak spotkamy jakiś okręt, to poprosimy, aby nam odstąpiono nowy kawałek drzewa. Myśmy nie dla przyjemności wyruszyli w drogę, ale mamy zarobić znaczną sumę pieniędzy.

— Boże broń! Cóżby nasi ludzie powiedzieli, gdybyśmy wrócili, nie spełniwszy naszego zobowiązania — zamruczał Jakób.

Obaj wyleźli następnie z kajuty, aby zbadać kierunek wiatru. Słyszałem, jak na górze głośno sprzecali się.

— Poczciwe to chłopaki, ale tak zakute głowy, że uporem swym pogorszą nasze położenie — oświadczył Heldze, kiedy zostaliśmy sami. — To już nie odwaga, ale czyste waryactwo. Dyabli niech wezmą taki heroizm! Niechże pani teraz spróbuje — dodałem — trochę wypocząć.

— Nie! chętnie pozostanę z panem — odpowiedziała. — O, Hugh! Kiedy wypływałeś wtedy ku nam łodzią ratunkową, nie przeczuwałeś, co cię czeka!

Delikatnie położyła swoją rękę na mojej.

— Niech pan nie traci tylko odwagi, proszę pana! We mnie żyje silne przekonanie, że wszystko to jeszcze dobrze się skończy.

Kogóż w ten sposób nie można pocieszyć!...

Powoli mijały godziny. Helga usnęła wkońcu. Mnie jednak troski nie dały spocząć. Nagle na pokładzie rozległy się znowu głośne wołania, które wyrwały mnie z zadumy. Jak tylko mogłem najprędzej, wybiegłem i ujrzałem w niedalekiej odległości zielone światło okrętu, które unosiło się nad falą jak świętojański robaczek. Przez ciemności nie można było zarysów okrętu rozeznaczyć.

— Baczność! statek! Staaaa! Statek!

Przenikający ten krzyk przebrzmiał i tym razem bez skutku. Po chwili światło znikło w ciemnościach... I znowu zgasła moja nadzieja.

Przed brzaskiem, wypogodziło się trochę i na niebie zabłyśły gwiazdy. Stałem obok Abrahama na pokładzie i rozmawialiśmy o dzieciach Tomasza. Na ciemnym horyzoncie zaczął świtać wązki pasek różowego światła, który powiększał się z każdą chwilą. Noc uciekała, ciągnąc za sobą swój płaszcz przetykany gwiazdami. Dawno już nie oglądałem tak cudnego wschodu słońca na pełnym morzu.